

FRONDA

GILBERT K.
CHESTERTON



Latająca gospoda

POWIEŚCI
Z KRZYŻYKIEM

W serii
POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM
dotychczas ukazały się:

GILBERT KEITH CHESTERTON
KULA I KRZYŻ
CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM
PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA
NAPOLEON Z NOTTING HILL
LATAJĄCA GOSPODA

GERTRUD VON LE FORT
PAPIEŻ Z GETTA

WALTER M. MILLER JR
KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA

BRIAN MOORE
KATOLICY



W przygotowaniu:

Gilbert Keith Chesterton
KLUB NIEZWYKŁYCH ZAWODÓW

Gilbert Keith Chesterton

Latajaça gospoda

FRONDA

Tytuł oryginału
THE FLYING INN

Copyright © 2009 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Tłumaczenie

Hanna Olędzka

Analiza języka przekładu i opracowanie literackie

Małgorzata Bartas-Witan

Redakcja i korekta

Robert Jankowski

Projekt graficzny serii

Halina i Bartłomiej Kuźniccy

Projekt okładki

Barbara Piotrowska

Opracowanie typograficzne i łamanie

PanDawer, www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-39-0

Wydawca

FRONDA PL Spółka z o. o.

ul. Jana Olbrachta 94

01-102 Warszawa

tel. (22) 836 54 44, 877 37 35

faks (22) 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl

www.fronda.pl

Menedżer projektu

Wojciech Salwa

Druk i oprawa

Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Rozdział I

KAZANIE NA TEMAT GOSPÓD

Morze było jasnozielonej, czarodziejskiej barwy, a dzień muśnięty już skrzydłem wieczoru. Młoda, ciemnowłosa kobieta w falującej, wymyślnie skrojonej sukni koloru miedzi, przechadzała się na pozór obojętnie nadbrzeżną promenadą w Pebbleswick-on-Sea. Niedbałym ruchem wlokąc za sobą parasolkę, spoglądała na odległą linię horyzontu. Nie bez powodu wpatrywała się w dal – a powód ten dobrze jest znany wielu młodym kobietom w historii świata. Na morzu jednakże nie pojawiał się żaden żagiel.

Na plaży, poniżej promenady, małe grupki słuchaczy otaczały, często napotykanych w nadmorskich miejscowościach, przygodnych mówców: Murzynów, socjalistów, cyrkowców czy rozmaitych duchownych.

W jednym miejscu na przykład jakiś mężczyzna pokazywał przedziwne sztuczki z tekturowymi pudełkami. Niedzielni gapie całymi godzinami przyglądali się temu w nadziei, że zrozumieją, co on właściwie robi. Nieopodal zwracał uwagę człowiek w cylindrze z bardzo dużą Biblią i bardzo małą żoną, która stała przy nim bez słowa. Natchniony mówca wymachiwał zaciśniętą pięścią,

walcząc przeciw sublapsarianizmowi – herezji bardzo rozpowszechnionej w wytwornych uzdrowiskach. I choć mówił z wielkim przejęciem, niełatwo było śledzić tok jego wywodów. Jedno, co docierało do słuchaczy, to rzucane od czasu do czasu pogardliwe ubolewanie: „Nasi zbłąkani przyjaciele, sublapsarianie”.

Dalej na plaży przemawiał jakiś młodzieniec, który starał się pozyskać słuchaczy przy pomocy wianka z marchewek na kapeluszu. I choć prawdę rzekłszy nikt, a tym bardziej on sam, nie wiedział, o czym właściwie mówi – to przed nim właśnie leżało najwięcej ubieranych pieniędzy. Dalej stali Murzyni, obok których miejsce dla siebie znalazł człowiek o długiej szyi. Wybijając takt małym drewnianym szpadelkiem, dyrygował dziecięcym chórem śpiewającym nabożne pieśni. Grupka tych małych śpiewaków z zaciekłością wskazywana była przez stojącego jeszcze dalej ateistę, który rozsierdzony perorował na temat wypaczania najlepszych tworców przyrody przy pomocy tajemniczych praktyk inkwizycji hiszpańskiej – a więc oczywiście... człowieka ze szpadelkiem. Ateista (z czerwoną rozetką w klapie) gromił również ostro i własne audytorium. Za rzucane im w twarz: „Hipokryci”, słuchacze rzucali mu pieniądze. Za dodane z pasją: „Głupcy i tchórze” – obdarowywali go jeszcze hojniej.

Grupkę nabożnie śpiewających dzieci i rozognionego ateistę, rozdzielał stojący pod obszernym, zielonym, lekko chwiejącym się parasolem niski staruszek w czerwonym fezie. Jego ciemna twarz, poorana bruzdami niczym orzech włoski, nos z gatunku tych, które kojarzymy

z Judeą, czarny klin bródki przywodzący na myśl Persję – dodawały mu egzotycznego charakteru, choć równocześnie, w zabawny sposób, czyniły go podobnym do sowy. Wśród tej dobrze znanej przechodniom wystawy wariatów i szarlatanów, mężczyzna ów był nowym okazem i to przed nim właśnie przystanąła na chwilę młoda kobieta. Należała do osób, u których prawdziwe poczucie humoru kłóci się zawsze z wrodzoną skłonnością do poddawania się nudzie lub melancholii. Czy to z powodu jednego, czy drugiego – oparta o balustradę, zaczęła się przysłuchiwać nieznanemu. Jego dziwaczny akcent kazał jej początkowo sądzić, że mówi on jakimś własnym, orientalnym językiem. Wszelkie artykułowane odgłosy, jakie z siebie wydawał, brzmiały dziwnie i obco – jak choćby nienaturalne przeciąganie krótkiego angielskiego „u”. Upłynęły pełne cztery minuty, zanim dziewczyna zdołała wyłowić bodaj jedno słowo, a po następnej chwili udało się jej uchwycić sens przemowy, który streścić można krótko: cywilizacja Anglii ugruntowana została przez Turków, czy też może przez Saracenów, po ich zwycięstwie nad krzyżowcami. Pasja głoszenia tej „prawdy” łączyła się u mówcy z wiarą, że pogląd taki już wkrótce podzielać będą wszyscy Anglicy. W celu udowodnienia swej tezy on sam postanowił rozpowszechniać hasło powstrzymania się od picia mocnych trunków.

— Spójrzcie na wasze gospody (a właściwie „khospody” – bo tak brzmiało to słowo w ustach starca) – te wasze gospody, które opisujecie w książkach, nie były początkowo zakładane, by handlować tam chrześcijańskimi

trunkami, lecz by sprzedawać mahometańskie napoje bezalkoholowe!

Ponieważ dziewczyna była jedynym słuchaczem tych rewelacji – ku niej skierował się zgięty brązowy palec:

– Skąd to wiadomo? Otóż nic prostszego: świadczą o tym nazwy waszych gospód. Są to nazwy wschodnie, azjatyckie. Jak choćby słynna oberża, przy której zatrzymują się u was omnibusy. O ile wiem zwie się „Słoń i Zamek”. I nie jest to nazwa angielska, leczazjatycka! Odpowiedcie, że w Anglii są zamki. Zgoda. Jest zamek Windsor. Ale gdzie – zawołał gniewnie acz triumfalnie, energicznie pogroziwszy zielonym parasolem – gdzie macie słońia Windsoru? Choćby cały park windsorski przetrząsnąć... ani śladu słońia!

Trudno było odmówić racji temu stwierdzeniu. I być może właśnie ta niepodważalna słuszność ostatnich słów, a być może surowy i stanowczy ton całej oracji sprawiły, że ciemnowłosa dziewczyna zaczęła nabierać przekonania, że ten zapalony mówca w czerwonym fezie przemawia ciekawiej niż inni. I na potwierdzenie tego, zgodnie z rozpowszechnionym zwyczajem dawania datków wybranym przedstawicielom rywalizujących ze sobą wyznań – dwu szylingową monetę wrzuciła na okrągłą, miedzianą tackę, stojącą właśnie przed nim.

Jakby nie zwracając na to uwagi – z szlachetnym i bezinteresownym zapałem, acz dość zawile – starzec ciągnął dalej swoje wywody.

– Macie również w tym mieście szynk, który nazywacie „Buul”.

— Nazywamy go zazwyczaj „Bull” – melodyjnym głosem wtrąciła zainteresowana młoda dama.

— Macie szynk, który nazywacie „Buul” – powtórzył z jakąś abstrakcyjną wściekłością – i na pewno zdajecie sobie sprawę, jakie to śmieszne.

— Wcale nie – zaprzeczyła łagodnie dziewczyna.

— Dlaczego to ma być „bull”? – wołał rozciągając na swój sposób słowo. – Po co „bull” – czyli byk, miałby być nazwą lokalu, w którym urzęduje się przyjęcia? Kto myśli o byku w ogrodach rozkoszy? Po co nam byk, kiedy patrzymy, jak tańczą barwne niczym tulipany dziewczęta, lub gdy nalewamy skrzący się sorbet? Wy sami, moi przyjaciele – rozpromienionym wzrokiem powiódł wkoło, jakby zwracając się do nieprzebranych tłumów – wy sami macie przysłowie: w składzie porcelany pańskie oko byka nie utuczy. Tym bardziej nie utuczy go w winiarni. To oczywiste.

Zatknął swój zielony parasol w piasek i uderzył palcem o palec jak człowiek, który z uroczystym namaszczeniem przystępuje do sedna sprawy

— To jasne jak słońce w południe, że słowo „bull”, pozbawione spokojnych, przyjemnych skojarzeń, jest po prostu wypaczeniem innego słowa, które daje to skojarzenie. Słowo to nie brzmi „bull”, czyli byk, lecz „bulbul”, a więc słowik! – Zagrzmiął donośnie jak trąba i, rozcapierzywszy palce, rozłożył szeroko ręce jak liście podzwrotnikowej palmy.

Po tym wspaniałym efekcie złagodniał nieco i poważnie wsparł się na parasolu.

— Te same ślady azjatyckiej nomenklatury napotkacie we wszystkich nazwach waszych angielskich gospód. Zresztą nie tylko tam. Pewien jestem, że napotkacie je we wszystkich określeniach związanych zarówno z hulanką, jak i z odpoczynek. No cóż, moi mili – ciągnął dalej – nawet prawdziwa nazwa owego zdradliwego spirytusu, który dodaje mocy waszym trunkom, to arabskie słowo: alkohol. Czyż to nie oczywiste, że „al” jest tu arabskim przedimkiem, podobnie jak w wyrazach Alhambra czy algebra? I nie musimy zadawać sobie wiele trudu, by odnaleźć ten przedimek w wielu waszych słowach związanych z ucztowaniem. Potrzebne przykłady? Bardzo proszę: piwo Alsopa, Ally Sloper i ta wasza częściowo wesota budowla, jaką jest Albert Memorial. Przede wszystkim jednak niepodważalne wschodnie wpływy odnajdziecie w największej uroczystości, którą błędnie kojarzycie z waszą religią – w święcie Bożego Narodzenia. Czy przy tej okazji wymawiacie nazwę kóregoś z chrześcijańskich krajów? Czy mówicie: „Chciałbym kawałek Francji, chciałbym kawałek Irlandii, kawałek Szkocji czy Hiszpanii”? Nie-e-e – beknął jak baran. – Mówicie: „Chciałbym kawałek Turcji”, bo w waszym języku słowo „turkey” oznacza i indyka, i Turcję – kraj sług Proroka!

I znów patetycznie rozłożył ramiona na wschód i zachód, jakby chciał ziemię i niebo wziąć na świadka. Młoda dama patrząca z uśmiechem na bezkresne, zielononiebieskie morze, lekko – jakby na zakończenie – zaklaskata dłońmi w popielatych rękawiczkach. Ale niski staruszek w fezie ani myślał kończyć.

— Zaprotestujecie przeciw moim słowom...
— Och nie, nie – szepnęła skwapliwie słuchaczka. –
Ani myślę protestować!

— ...zaprotestujecie przeciw moim słowom – ciągnął z naciskiem mistrz – twierdząc, że niektóre gospody mają nazwy symboliczne, odpowiedniki waszych narodowych przesądów. Z pewnością wskażecie na to, że Golden Cross mieści się naprzeciwko Charing Cross, będziecie szeroko rozvodzić się na temat King’s Cross, Gerrard’s Cross i innych krzyży w Londynie, czy pod miastem. Nie można jednak zapominać o tym – i tu żartobliwie pogroził dziewczynie zielonym parasolem, jakby zamierzał ją dźgnąć – nikt z was, przyjaciele, nie może zapomnieć o tym, ile jest w Londynie półksiężyców! Denmark Crescent, Mornington Crescent, St. Mark’s Crescent, St. George’s Crescent, Grosvenor Crescent, Regent’s Park Crescent! A jeszcze Royal Crescent i Pelham Crescent. Mam wymieniać dalej? Sami widzicie – wszędzie składa się hołd świętemu symbolowi religii Proroka! A i tu w waszym mieście, złożonym niemal z samych półksiężyców – wystarczy porównać gęstość ich rozmieszczenia oraz ich kształt z doprawdy mizernym zastępem krzyży, jakie tu pozostały, aby świadczyć o efemerycznym przesądzie, ku któremu skłoniliście się w jakimś momencie słabości.

Tłumy na wybrzeżu szybko malały – najlepszy znak zbliżającej się pory popołudniowej herbaty. Z nadejściem wieczoru niebo na zachodzie stawało się coraz jaśniejsze. Słońce przybliżało się do linii oddzielającej blade morze od zielonkawo-szklistego nieba. Rozświetlona

przejrzystość obu: nieba i morza, kojarzących się dziewczynie z marzeniami i tragedią, zdała się w owej chwili jaśniejącym symbolem jej rozpaczki. Fale mieniące się milionami szmaragdów odpływały tak wolno, jak wolno zachodziło słońce. Natomiast tuż obok – rzeka ludzkiej głupoty płynęła nieprzerwanym, bystrym nurtem.

— Nie myślę bynajmniej upierać się przy tym – ciągnął stary jegomość – że to, co mówię, jest specjalnie przystępne, ani że wszystkie przykłady są tak jasne i bezsporne, jak te, które dopiero co wyłuszczyłem. Oczywiście, że nie-e. I chociaż wątpliwości nie budzi, iż „The Saracen’s Head” jest zniekształconym „The Saracen’s Ahead” – czyli że „Głowa Saracena” to nic innego jak „Saracen przed nami”, to daleki jestem od twierdzenia, iż rzecz jest równie bezsporna, jeśli idzie o „The Green Dragon”, a więc „Zielonego smoka”, którego pierwotne brzmienie to „The Agreeing Dragoman”, czyli „Ustępliwy dragoman”. Mam jednak nadzieję, że dowiodę tego wkrótce w mojej książce. Tymczasem tylko napomknę, że prawdopodobniejsze jest, iż ktoś, chcąc zwrócić na siebie uwagę podróżnego na pustyni, będzie raczej starał się być podobnym do życzliwego przewodnika lub niosącego wytchnienie wysłannika, niż do żarłocznego potwora. Jak widać bardzo trudno jest znaleźć prawdziwe źródło pochodzenia wyrazów. Ot – choćby w wypadku waszej gospody, oddającej swą nazwę hołd pamięci naszego wielkiego mahomeńskiego wojownika Amira Ali Ben Bhoze, którego imię tak dziwacznie skróciliście do admirał Benbow. A bywa, i to wcale nie rzadko, że przed poszukiwaczem prawdy

piętrzą się jeszcze większe trudności. Jest tu w pobliżu miejsce, w którym można solidnie wypić, zwane przez was gospodą „Pod Starym Okrętem”...

Oczy dziewczyny, wlepione w półkolistą linię horyzontu, nagle znieruchomiały jak sam horyzont, a jej twarz odmieniła się pokrywając rumieńcem. Na plaży było prawie pusto. Nie było już ateisty, tak jak – według niego – nie było Boga. A ci, co mieli nadzieję, iż zrozumieją tajemnicę tekturowych pudełek, rozeszli się do domów na herbatę, nie dowiedziawszy się, o co chodzi. Młoda kobieta wciąż jednak stała oparta o balustradę. Jej nogi jakby wrosły w ziemię – ale twarz ożywiła się.

— Trzeba przyznać – beczał dalej staruszek z zielonym parasolem – że w nazwie „Pod Starym Okrętem” nie ma oczywistych śladów pochodzenia azjatyckiego. Ale i tu poszukiwacz prawdy może natknąć się na niezbitte dowody. Wypytywałem właściciela, którym jest, o ile wiem, niejaki pan Pump...

Dziewczynie zadrżały wargi.

— Biedny stary Hump! – westchnęła z żalem. – O tak ... Zapomniałam o nim. Pewno martwi się tak samo, jak ja! Mam nadzieję, że ten człowiek nie będzie pleść głupstw na jego temat! Wolalabym, żeby o tym w ogóle nie mówił!

—Pan Pump powiedział mi, że nazwę gospodzie nadał jego serdeczny przyjaciel Irlandczyk. Kiedyś był kapitanem Brytyjskiej Marynarki Wojennej, lecz oburzony postępowaniem wobec Irlandii, podał się do dymisji. Porzucając służbę, zachował jeszcze tyle z przesądów waszych zachodnich żeglarzy, że chciał, aby gospoda

przyjaciela otrzymała nazwę jego statku. Ponieważ jednak statek nazywał się „Zjednoczone Królestwo”...

— Czy może pan powiedzieć nazwisko tego kapitana? – niespodziewanie nad głową mówiącego rozległ się donośny głos, przechylającej się przez balustradę w jego stronę, słuchaczki.

Stary człowiek cały wzdrygnął się, zamrugnął i wytrzeszczył oczy jak spłoszona sowa. Godzinami przemawiał, jakby miał tysiące słuchaczy, a oto teraz zmieszał się, stwierdzając, że w ogóle ma słuchaczkę. O tej porze byli jedynymi niemal istotami ludzkimi na całym wybrzeżu, jedynymi niemal istotami żyjącymi – nie licząc mew. Słońce już, już miało zniknąć, kiedy nagle pękło jak krwista pomarańcza i wzdłuż tego pęknięcia, nisko na niebie, rozlały się krwistoczerwone smugi. Ostry, spóźniony blask odbarwił czerwony fez i zielony parasol starego, ale jego ciemna sylwetka, wyraźnie odcinająca się na tle morza i zachodu, prawie nic się nie zmieniła. Prawie – bo tym co widocznie zaznaczyło się w jego postaci to nagłe poruszenie.

— Nazwisko... nazwisko kapitana. Ja... – zająknął się. – Powiedziano mi, że nazywał się Dalroy. Ale co innego chciałbym podkreślić i wyjaśnić: to mianowicie, że poszukiwacz prawdy i tu także może znaleźć dalsze myślowe asocjacje. Pan Pump wyjaśnił mi, że odnawia owo miejsce biesiad głównie dlatego, że przewiduje powrót wspomnianego kapitana, który podobno przyjął służbę w niewielkiej flocie. Obecnie jednak porzucił ją i wraca do domu. Teraz zważcie wszyscy, moi przyjaciele – powiedział do mew – że i tu łańcuch logiki ma swoją ciągłość.

Powiedział to już tylko do mew. Młoda dama, która dotąd, opierając się całym ciężarem o balustradę, wpatrywała się weń błyszczącymi oczyma, właśnie odwróciła się i szybko znikła w półmroku. Kiedy jej pośpieszne kroki ucichły, nie było słychać już nic, prócz słabego, a przecież potężnego pomruku oddalonego teraz morza, rzadkich krzyków mew i głosu ciągnącego nie kończący się monolog.

— Zważcie wszyscy – kontynuował stary mówca i tak wściekle wywijał parasolem, że niemal rozwinął go, jak zieloną chorągiew, a potem wbił głęboko w piach – w ten piach, na którym tak często rozbijali namioty jego waleczni przodkowie. – Zważcie wszyscy ten cudowny fakt! Oto kiedy przez czas jakiś byłem zdziwiony, zakłopotany i, jak powiedzielibyście, pozbawiony wszelkich dowodów jakiegoś wschodniego wpływu na ową nazwę „Pod Starym Okrętem”, wówczas spytałem, z jakiego kraju wraca kapitan. A pan Pump odpowiedział mi uroczyście: „Z Turcji”. Z Turcji! Z najbliższego stąd kraju wyznawców Proroka. Wiem, ludzie mówią, że to nie nasz kraj. Ale jakież ma znaczenie to, skąd pochodzimy, skoro niesiemy posłannictwo z rajy? Niesiemy je w szaleńczym pędzie galopujących koni i nie mamy czasu nigdzie się zatrzymywać. Ale to, co niesiemy, jest jedyną wiarą, która pamięta o tym, co wy, w waszych szumnych słowach, nazywacie dziewiczością ludzkiego rozumu. Wiarą, która nikogo z ludzi nie wywyższa ponad Proroka, i która uszanowała samotność Boga.

I znów rozpostarł ramiona, jak gdyby zwracał się do milionów. On, tak samotny w mroku wybrzeża.

Rozdział II

KONIEC WYSPY OLIVEK

Ogromny, mieniący się barwami jak kameleon, wijący się wokół ziemi, smok morski, był jasnozielony, kiedy spienioną falą obmywał Pebbleswick, a stawał się intensywnie niebieski, kiedy rozbijał się o Wyspy Jońskie. Jedną z nielicznych wysepek, płaska, biała skała na lazurowym bezmiarze, słynęła jako Wyspa Oliwek. Nie dlatego, by w nie obfitowała, lecz dlatego, że – przez jakiś kaprys klimatu czy gleby – rosnące tam dwie czy też trzy oliwki, osiągnęły niespotykaną wysokość. Nawet na skwarnym południu rzadko drzewo oliwne bywa wyższe od niewielkiej gruszy. Ale te trzy oliwki stojące na jałowym pustkowiu niczym znaki sygnałowe – gdyby nie kształt – z łatwością mogłyby uchodzić za średniej wysokości sosny czy też modrzewie północy. Miejsce to było związane ze starą legendą grecką o Pallas Atenie, patronce drzewa oliwnego. Morza te owiane były bowiem starożytnymi mitami Hellenów, a z marmurowego tarasu pod drzewem oliwnym można było dojrzeć szare zarysy Itaki.

Na wysepce, pod drzewami, stał stół pełen papierów i kałamarzy. Przy stole siedziało czterech mężczyzn: dwóch w mundurach, a dwóch w cywilnych czarnych

ubraniach. Za nimi widać było grupkę adiutantów, ordynansów i tym podobnych osób, dalej jeszcze, na morzu, stały, jeden za drugim, trzy milczące pancerniki. Tutaj bowiem przygotowywano pokój dla Europy.

Właśnie zakończyła się długa agonია jednego z wielu nieudanych wysiłków złamania potęgi tureckiej i ocalenia drobnych plemion chrześcijańskich. Wiele podobnych spotkań odbyło się w końcowych fazach tych zmagają, gdy mniejsze narody, jeden po drugim, rezygnowały z walki albo gdy większe ingerowały, by je do tego zmusić. Obecnie strony zainteresowane reprezentowane były już tylko przez te cztery osoby. Mocarstwa europejskie, uznając konieczność zawarcia pokoju na warunkach proponowanych przez Turcję, powierzyły ostatnie układy Anglii i Niemcom, gdyż można było zaufać, że przeprowadzą je jak należy. Obecny był tu, oczywiście, przedstawiciel sułtana i przedstawiciel jedyne go przeciwnika sułtana, który się dotychczas nie zgodził na żadne układy.

Bowiem jedno małe państewko samo, bez niczyjej pomocy, miesiąc za miesiącem, prowadziło wojnę z uporem i chwilowym powodzeniem, które każdego rana zdawało się efemerycznym cudem. Pewien nieznan y nikomu i ledwo uznawany książę, zwący siebie „królem Itaki”, wypełnił wschodni basen Morza Śródziemnego rozgłosem bohaterskich czynów, godnych śmiałego porównania, jakie nasuwała nazwa jego wyspy. Poeci nie mogli powstrzymać się od pytań, czy to nie wrócił Odys we własnej osobie. Patrioci greccy natomiast, nawet jeśli ich samych zmuszono do złożenia broni, byli ciekawi, czy pochodzenie

i nazwisko założyciela nowej, bohaterskiej dynastii było greckie. Toteż z pewnym rozbawieniem świat wreszcie wykrył, że potomkiem Ulissesa jest bezczelny irlandzki awanturник, niejaki Patryk Dalroy. Swego czasu służył on w marynarce angielskiej, lecz wdawszy się w kłótnię, której przyczyną było to, że stanął w obronie Fenian, podał się do dymisji. Od tej pory zakosztował wielu przygód w coraz to innych mundurach. I ciągle – z jakimś niezwykłym połączeniem cynizmu i donkiszoterii – siebie lub kogo innego pakował w jakąś kabałę. W fantastycznym małym królestwie był oczywiście swoim własnym generałem, admirałem, własnym ministrem spraw zagranicznych i ambasadorem. W zasadniczych sprawach wojny i pokoju starał się jednak zawsze postępować zgodnie z wolą poddanych. Właśnie na ich życzenie przybył tutaj, by złożyć wreszcie miecz. Znany był nie tylko z uzdolnień fachowych, ale przede wszystkim z niezwyklej siły fizycznej i atletycznej budowy. Ostatnio utarło się w prasie przekonanie, że sama barbarzyńska siła mięśni na nic się nie zda w nowoczesnych działaniach militarnych. Ale, kto wie, może te zapatrywania są równie przesadne, jak pogląd przeciwny. W takich wojnach jak te, które toczą się na Bliskim Wschodzie, gdzie niemal każdy ma jakąś broń i gdzie aż roi się od napastników, wódz, który potrafi bronić swojej głowy, posiada często prawdziwą przewagę. I nie jest prawdą, nawet ogólnie rzecz biorąc, że siła jest nieużyteczna. Przyznał to zresztą lord Ivywood, poseł angielski, który szczegółowo starał się udowodnić królowi Patrykowi miażdżącą wyższość tureckiego modelu działa

polowego. W odpowiedzi na co król Itaki zauważył, że jest całkowiec o tym przekonany, ale chętnie wzięłyby takie działo i uciekł, trzymając je pod pachą. Znaczenie siły fizycznej doceniłby także największy z wojowników tureckich, straszliwy Oman Pasza, jednakowoż wstawiony odwagą podczas wojny, jak i okrucieństwem podczas pokoju, a przecież noszący na czole bliznę po ranie zadanej szablą Patryka po trzech godzinach zacieklej walki. Ranę tę otrzymał bez gniewu i wstydu, jako że, przyznać musimy, Turek zawsze jest w tej grze niezrównany.

Znaczenie siły fizycznej doceniał również finansowy doradca pośta niemieckiego pan Hart, gdyż Patryk – spytawszy uprzednio, przez które z frontowych okien wolałby zostać wrzucony – wrzucił go przez okno jego sypialni na pierwszym piętrze z taką precyzją, że pan Hart wylądował na własnym łóżku, na którym od razu mógł skorzystać z pomocy lekarskiej. Ale ponieważ, mimo wszystko, jeden muskularny Irlandczyk i jedna wyspa nie mogą walczyć bez końca przeciw całej Europie, przybył tedy Patryk, w wisielczym humorze, przedłożyć warunki pokoju, jakie podyktowała mu przybrana ojczyzna. Nie mógł nawet powalić wszystkich tych dyplomatów (choć nie brakowało mu do tego ani siły, ani ochoty, bo jego lepsze „ja” kazało mu pamiętać, że podobnie jak on, są tylko wykonawcami rozkazów). Siedział zatem przy niewielkim stole ociężały i senny, w zielonobiałym mundurze marynarki wojennej Itaki (który sam obmyślił). Było to wielkie jak byk chłopisko, niewiarygodnie młode jak na swe rozmiary, z byczym karkiem, z wielkimi błękitnymi byczymi

oczyma i z rudymi włosami, tak sterczącymi na głowie, iż sprawiało to wrażenie, że włosy mu się zapaliły i głowa stoi w płomieniach. Niektórzy zresztą twierdzili, że tak jest naprawdę.

Najbardziej spośród zebranych wyróżniał się wielki Oman Pasza we własnej osobie: jego wyrazista twarz nosiła ślady wojennych wyrzeczeń, a włosy i wąsy nie tyle chyba wiek mu ubielił, ile raczej zetlały w ogniu błyskawic. Na głowie miał fez czerwony, a od fezu aż do wąsów biegła blizna, od której król Itaki wzrok odwracał. Oczy Paszy były zatrwająco puste i bez wyrazu.

Lord Ivywood, poseł angielski, był zapewne najprzystojniejszym mężczyzną Anglii, chociaż włosy i cerę miał bezbarwne. Na tle tego błękitnego, gładkiego jak marmur morza można by go wziąć za jeden ze starych marmurowych posągów bezbłędnych w linii, ale nie przyciągających wzroku żadnym kolorem. Rzekłbyś, iż tylko od oświetlenia zależało, czy włosy jego wydawały się matowosrebrne, czy jasnobrązowe. A jego wspaniała maska nie zmieniała nigdy barwy ni wyrazu. Był jednym z ostatnich mówców parlamentarnych starego typu, a przecież był zapewne stosunkowo młody. Wszystko, o czym chciał mówić, umiał okraszyć kwiecistym zwrotem. Twarz jego pozostawała jednak martwa, podczas gdy usta tchnęły życiem. Miał swoje staromodne, drobne przyzwyczajenia, jakby żywcem wzięte z dawnych obyczajów parlamentarnych. Zawsze na przykład wstawał, jak w senacie, ilekroć przemawiał do trzech pozo-

stałych mężczyzn siedzących wraz z nim na zagubionej wśród morza skale.

Mimo to sprawiał wrażenie dość bezpośredniego przez kontrast z siedzącym obok niego człowiekiem. Ów słowem się nie odzywał, ale twarz zdawała się mówić za niego. Człowiekiem tym był doktor Gluck, poseł niemiecki, którego powierzchowność nie miała w sobie nawet cienia niemieckiego mistycyzmu ani ospałości. Twarz miał barwną jak jaskrawa fotografia, a tak zmienną w wyrazie i ruchliwą, jak na filmie. Natomiast jego szkarłatne wargi nigdy prawie się nie poruszały. Migdałowe oczy posta zdawały się mienić całą skalą blasków opalu, a mały, czarny, zakręcony wąsik robił chwilami wrażenie, że się sam zwija jak żywy czarny wężyk. Ale doktor niemy był jak ryba. Doktor Gluck położył przed lordem Ivywood jakiś dokument. Ivywood, chcąc go przeczytać, włożył okulary i od razu przybyło mu lat dziesięć.

Było to tylko zestawienie wszystkich punktów kilku spraw, które należało załatwić na tej ostatniej konferencji. Pierwszy punkt brzmiał:

„Ambasador Itaki domaga się, by dziewczęta wzięte do haremów po zdobyciu Pylos zostały zwrócone rodzinom. To życzenie nie może być uwzględnione.”

Lord Ivywood wstał. Samo piękno jego głosu zdumiewało każdego, kto nigdy przedtem go nie słyszał.

— Wasze ekscelencje i panowie – zaczął – pewien mąż stanu, którego polityki bynajmniej nie pochwalam, ale do którego historycznego stanowiska nie mógłbym zapewne pretendować, zaznajomił panów z pojęciem

honorowego pokoju. Kiedy mamy uczcić jednak zawarcie przymierza między takimi światowej sławy żołnierzami, jak Oman Pasza i jego królewska mość, król Itaki, możemy, jak sądzę, nazwać ów pokój chwalebny.

Zamilkł na ułamek sekundy, lecz słowa jego wypowiedziane były w sposób tak doskonały, iż rzekłbyś, nawet milczące morze i skalista wyspa wibrują od oklasków.

— Wierzę, że wszystkich nas ożywia jedna myśl, bez względu na jakiegokolwiek różnice zdań, które zachodziły podczas tych przewlekłych i nużących miesięcy negocjacji. Wierzę, że teraz wszystkich nas ożywia jedna myśl: żeby pokój był tak konsekwentny i tak bezwzględny, jak konsekwentna i bezwzględna była wojna.

Zamilkł znów na chwilę i zdało mu się, że słyszy tym razem nie mechaniczne oklaski rąk, lecz pełne aplauzu myśli ludzkie.

— Jeżeli zamierzamy poniechać walki, musimy niewątpliwie poniechać sporów. I gdy tak zaszczytne boje ma przypieczętować tak zaszczytny pokój, rzeczą stosowną byłaby ustawa ograniczająca lub, jeśli wolicie, amnestia. A jeśli istnieje cokolwiek, co mógłby doradzić stary dyplomata, powiem wam z naciskiem jedno: nie wolno wzniecać niepokoju z powodu jakiegokolwiek przyjaźni czy też więzów rodzinnych zadziergniętych w tym niespokojnym okresie. Muszę przyznać, że jestem o tyle staromodny, że uważam, iż wszelkie mieszanie się w wewnętrzne życie rodzinne mogłoby stanowić precedens mocno niebezpieczny. I nie będę tak mały liberalny, by nie uszanować staromodnych obyczajów islamu tam,

gdzie uszanowałbym starodawne obyczaje chrześcijaństwa. Poddano nam sugestię, że moglibyśmy wszcząć na nowo wojnę lub rościć pretensje o to mianowicie, że niektóre kobiety z własnej czy nie z własnej woli opuściły domy rodzinne. Nie mogę sobie zresztą wyobrazić sporu bardziej niebezpiecznego jako punkt wyjściowy ani trudniejszego do rozwikłania. Ośmielę się dodać, że jestem chyba wyrazicielem waszych poglądów, kiedy mówię, że mimo wszelkich krzywd, jakie wyrządziły obie strony, ogniska domowe, małżeństwa i stosunki rodzinne muszą pozostać w tym wielkim otomańskim imperium takie, jakie są dzisiaj.

Nikt się nie poruszył oprócz Patryka Dalroy, który oparł dłoń na rękojeści szabli i ogarnął zebranych gwałtownym, wojowniczym spojrzeniem, po chwili jednak ręka jego opadła i Patryk nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

Lord Ivywood, nie zwracając na to uwagi, podniósł kartkę z porządkiem obrad i znowu włożył szkła, które go postarzały. Przeczytał punkt drugi – oczywiście po cichu. Poseł niemiecki, tak dalece niepodobny do Niemca, napisał dla niego taką notatkę:

„Zarówno Coote, jak i Bersteinowie obstają przy tym, że do wydobywania marmuru muszą być używani Chińczycy. Greków w chwili obecnej lepiej nie zatrudniać w kamieniołomach.”

— Aczkolwiek jednak – ciągnął dalej lord Ivywood – pragniemy, by podstawowe instytucje, jak rodzina muzułmańska, pozostały takie, jakie są właśnie obecnie,

przeciwni jesteŝmy społecznej stagnacji. Nie twierdzimy teŝ ani przez chwilę, ŝe wielka tradycja islamu wyłacznie sama zdoła zadoŝcuczynić potrzebom Bliskiego Wschodu. Ale pragnąłbym zadać waszym ekscelencjom wielkiej wagi pytanie: dlaczego mielibyŝmy być tak próżni, by przypuszczać, ŝe Bliski Wschód moŝe być uzdrowiony tylko przez Bliski Zachód? Jeŝli potrzebne sã nowe idee, jeŝli potrzebny jest dopływ ŝwieŝej krwi, czy nie byłoby rzeczą bardziej zrozumiałą odwołać się do tych najbardziej ŝywych, najbardziej płodnych cywilizacji, które stanowią wielką skarbnicę sił Wschodu? Azja w Europie, jeŝli przyjaciel mój, Oman Pasza, wybaczy mi tę uwagę, była dotychczas Azją wojującą. Czyŝ nie moglibyŝmy jednak widzieć w Europie Azji pokojowej? Te właŝnie przyczyny skłoniły mnie do wyrażenia zgody na projekt kolonizacji.

Patryk Dalroy zerwał się na równe nogi, chwytając zwieszającą się nad nim gałąź oliwki. Opanował się jednak i z ręką opartą o pień drzewa ogarnął w milczeniu wzrokiem obecnych. Zwaliło się nań raptem poczucie straszliwej bezzadności samej siły fizycznej. Mógłby wprowadzić wszystkich powrzucić do morza, ale co by komu z tego przyszło? Tyle tylko, ŝe więcej ludzi akredytowano by po tamtej stronie po to, by dalej prowadzić kampanię dyplomatyczną, a jedyny człowiek stojący po słusznej stronie zostałby zdyskredytowany z powodu głupstwa. Owładnięty wŝciekłością potrząsnął oliwką rozpoŝcierającą nad nim gałęzie. Ale lord Ivywood z niezmaconym spokojem odczytał właŝnie trzeci punkt leŝącego przed nim spisu („Oman Pasza nalega, by zniszczyć winnice”) i teraz był

pochłonięty końcowym ustępem przemowy, która potem stała się sławna i którą można odnaleźć w wielu podręcznikach oraz wypisach retoryki. Dobrnął już do połowy przemówienia, zanim wściekłość i zdumienie Dalroya zeżały, pozwalając mu śledzić tok jego słów.

— ...czy, doprawdy, nic nie jesteśmy dłużni – prawić dyplomata – za ów gest szczytnego wyrzeczenia, jakim tyle wieków temu wielki mistyk arabski odsunął od swych ust puchar wina? Czyż nic nie jesteśmy dłużni za długotrwałą czujność tej walecznej rasy, za ów długi post, który był i jest protestem przeciw trującym ponętom wina? Żyjemy bowiem w czasach, kiedy ludzie dostrzegają coraz wyraźniej, że wszystkie wiary przechowują jedno dla drugich skarby, że każda religia zawiera tajemnice nie znane jej sąsiadce, że wiara przemawia do wiary i kościół odślania swoją wiedzę kościołowi. Jeśli to prawda – a mówiąc to, znów odwołuję się do pobłażliwości Omana Paszy – jeśli to prawda, że my z Zachodu rzuciliśmy islamowi nieco światła na sprawę znaczenia spokoju i społecznego ładu, to czyż nie możemy pragnąć, by w zamian za to islam obdarzył pokojem tysiące naszych domów i zachęcił nas do zwalczania plagi wina, która paraliżowała i wypaczała zachodnie chrześcijaństwo? W moim kraju ustały już owe orgie, zakłócające noce najszlachetniejszych rodzin. Prawodawcy coraz gorliwiej prowadzą już akcję mającą na celu wyzwolenie ludzkości z więzów owej straszliwej trucizny. Niewątpliwie Prorok z Mekki zbiera swoje żniwo: scedowanie spornych winnic największemu z szermierzy jego idei jest sprawą najważniejszą ze wszystkich spraw

tego dnia. Szczęśliwego dnia, który ma wyzwolić Wschód od przekleństwa wojny, a Zachód od przekleństwa wina.

Dzielny książę, który wreszcie spotyka się tu z nami, by ofiarować nam gałązkę oliwną, jeszcze bardziej godną chwały niżli jego miecz, nie straci naszej sympatii, jeśli nawet z pewnym żalem odniesie się do owej cesji. Nie wątpię jednak, że i on podzieli w końcu naszą radość. Przy okazji pragnąłbym panom przypomnieć, że nie tylko winorośl była dotychczas symbolem chwały Południa. Jest jeszcze inne święte drzewo nie skalane rozwiązłymi i brutalnymi wspomnieniami, niewinne krwi Penteusza lub Orfeusza ani złamania jego liry. Co do nas, niebawem odejdziemy z tego miejsca, bo taka jest kolej rzeczy, że wszystko odchodzi i przemija.

*Skaliste brzegi nikną już w dali,
Od zgastych ognisk dym płynie siwy,
Naszej wielkości nic nie ocali,
Zgaśnie, jak zgasła wielkość Niniwy.*

Dopóki jednak słońce świecić, a ziemia żywić nas nie przestanie, szczęśliwsze od nas przyszłe pokolenia spoglądać będą na tę samotną wysepkę i słuchać, jak opowiada im swoje dzieje: albowiem widzieć tu będą owe trzy święte drzewa oliwne, wieczyście błogostawiające ten cichy zakątek, gdzie narodził się pokój świata.

Gdy Ivywood to mówił, dwaj pozostali mężczyźni nie spuszczała oczu z Dalroya; ręka obejmująca drzewo zacisnęła się jak kleszcze, a przez szeroką pierś przeszła

potężna fala wysiłku. Z ziemi, u stóp drzewa, wyprysnął niby konik polny drobny kamyk, a potem z wolna jęty wydobywać się splątane korzenie drzewa, podobne do łap smoczych, w chwili gdy smok przeciąga się wstając ze snu.

— Oto gałązka oliwna – powiedział król Itaki przechylając chwiejące się wyrwane drzewo, tak że przestronny cień, dużo większy niż samo drzewo, padł na całą radę. – Gałązka oliwna – dyszał – bardziej godna chwały niż mój miecz. I cięższa.

Potem zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i ze strome go brzegu cisnął drzewo w fale. Niemiec, który nie był Niemcem, ze strachu podniósł ramię, gdy padł na niego cień oliwki. Teraz podniósł się i oddalił od stołu, widząc, że szalony Irlandczyk zabiera się do drugiego drzewa. Tym razem Dalroyowi poszło łatwiej i zanim wrzucił je w ślad za pierwszą oliwką, stał z nim chwilę, podobny do człowieka, który żongluje wieżą.

Lord Ivywood wykazał więcej opanowania niż Niemiec, ale wstał z niesłychanym oburzeniem. Tylko pasza turecki siedział dalej nieporuszony, z oczami bez wyrazu. Dalroy wyrwał ostatnie drzewo i cisnął je w morze, ogłaczając doszczętnie wyspę.

— No! – zawołał, gdy trzecia, ostatnia oliwka plusnęła w fale. – Teraz chcę odejść. Widziałem dziś coś, co jest gorsze niż śmierć. A imię tego jest pokój.

Oman Pasza podniósł się i wyciągnął rękę.

— To prawda – powiedział po francusku. – Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy w naszym jedynym życiu,

które jest bądź co bądź dobrym życiem. Dokąd pan się uda teraz?

— Udaję się – odparł Dalroy marząco – do „Starego Okrętu”.

— Czy to ma znaczyć – spytał Turek – że pan chce wrócić do floty wojennej króla Anglii?

— Nie – odparł zapytany – wracam do „Starego Okrętu” w cieniu jabłoni, pod Pebbleswick, gdzie wśród drzew wije się rzeka Ule. Obawiam się, że nigdy pana tam nie zobaczę.

Chwilę zawahał się, po czym ucisnął czerwoną dłoń wielkiego tyrana i odszedł do swej łodzi, nawet nie spojrzawszy na dyplomatów.

Rozdział III

SZYLD „POD STARYM OKRĘTEM”

Niewielu było ludzi noszących nazwisko Pump. A wśród tych niewielu było tak zwariowanych, by jeszcze nadać dziecku imię Humphrey. Posunęli się wszakże do tego rodzice właściciela gospody „Pod Starym Okrętem”. Przez to ich syn mógł być nazwany przez najserdeczniejszych przyjaciół „Hump”, a przez starego Turka z zielonym parasolem „Pump”. To wszystko, czy też może raczej to, o czym wiedział, znosił Humphrey z kwaśnym uśmiechem. Z usposobienia był bowiem stoikiem.

Pan Humphrey Pump stał przed swoją gospodą, która znajdowała się niemal na brzegu morza, osłonięta tylko jednym rzędem skarłowaciałych, powykręcanych i pokrytych słonym nalotem od morskiego powietrza, jabłoni. Przed gospodą rozpościerał się ogrodzony wałem trawiasty plac do gry w kręgle. Poza placem teren gwałtownie opadał w dół, tak że jedyna bardzo stroma i kręta droga znikwała w tajemniczej głębi wysokich drzew. Pan Pump stał bezpośrednio pod zatkniętym w darń gołdem gospody. Był to drewniany, na biało pomalowany słup z prostokątnym, drewnianym, również biało pomalowanym szyldem. Przezabawny, błękitny okręt, taki, jaki

mogłoby narysować dziecko, dzięki patriotyzmowi pana Pumpa przyozdobiony czerwonym, nieproporcjonalnie wielkim krzyżem świętego Jerzego* – dumnie anonsował to miejsce.

Pan Humphrey Pump, barczysty człowiek średniego wzrostu, miał na sobie coś w rodzaju myśliwskiego ubrania, a na nogach sztylpy. W tej chwili zajmował się czyszczeniem i ładowaniem dubeltówki, broni krótkiej, lecz skutecznej. Była jego wynalazkiem, względnie – była przez niego udoskonalona. I choć wydawać się mogła dość ekscentryczna, w porównaniu z nowoczesną, naukowo opracowaną bronią, nie była bynajmniej nieporęczna ani staromodna. Bowiem Pump należał do tych zręcznych ludzi, którzy zdają się mieć sto rąk. Jak Briareus – sam robił niemal wszystko, co było mu potrzebne. Z tego też powodu każdy przedmiot w jego domu różnił się nieco od tego samego przedmiotu, w jakimkolwiek innym domu. Był też równie przebiegły, jak bożek Pan lub jak kłusownik, we wszystkim, co dotyczyło ptaków, ryb, liści czy jagód. Posiadał niezwykle zasoby podświadomych wspomnień i tradycji. Do tego miał ciekawy sposób gawędzenia, tak naszpikowany aluzjami, że aż czasem stawał się przez to niezbyt zrozumiały. Ponieważ zawsze przyjmował jako pewnik, że każdy zna swoje hrabstwo i jego historię równie dobrze jak on, wymieniał najbardziej tajemnicze i zadziwiające rzeczy, bez drgnienia jednego mięśnia w wyciętej – rzekłbyś – z sękatego

* Flaga brytyjskiej floty wojennej.

drzewa twarzy. Ciemnobrązowe włosy łączyły się z krótkimi bokobrodami, nadając mu przez to wygląd amatora wyścigów, ale w nieco staromodnym wydaniu. Uśmiech miał dosyć krzywy i cierpki, lecz jego piwne oczy były dobrotliwe i łagodne. Słowem, Pump był to Anglik z krwi i kości.

Ruchy jego, choć szybkie, cechował zazwyczaj spokój. Tym razem jednak rzucił strzelbę na stół przed gospodą i ruszył śpiesznie naprzód, z niezwykłym ożywieniem, a nawet oznakami szacunku, wycierając po drodze ręce. Za karłowatym drzewem, na tle morza, ukazała się wysoka, smukła postać dziewczyny w sukni koloru miedzi i kapeluszu z dużym rondem. Jej twarz tonąca w cieniu była poważna i piękna, choć dość śniada. Podążyła ręką panu Pumpowi, a Pump bardzo ceremonialnie przysunął jej krzesło, tytułując ją „lady Joanną”.

— Myślałam, że miło mi będzie zobaczyć znowu stare kąty – powiedziała. – Przeżyliśmy tu dobre chwile w dzieciństwie. Przypuszczam, że nie widuje pan teraz prawie starych przyjaciół?

— Bardzo rzadko – odparł Pump, pocierając w zamyśleniu krótkie bokobrody. — Lord Ivywood, odkąd objął urząd, zupełnie upodobił się do pastora metodystów. Na prawo i na lewo burzy piwiarnie. A pana Karola wysłano do Australii za to, że w czasie pogrzebu urznął się w pestkę. Lekka przesada, można powiedzieć, ale stara lady nie lubiła żartować.

— A czy pan słyszał co kiedy – spytała od niechcienia lady Joanna Brett – o tym Irlandczyku, kapitanie Dalroy?

– Tak, więcej niż o reszcie – odpowiedział właściciel gospody. – Podobno dokazywał cudów w tej Grecji. Jego odejście było wielką stratą dla marynarki.

– Znieważyli jego ojczyznę – rzekła dziewczyna, mocniej zarumieniona niż zwykle, patrząc na morze. – Jest Irlandczykiem i miał prawo czuć się dotknięty, gdy w ten sposób odezwano się o jego kraju.

– A kiedy wykryto, że pomalował go na zielono... – przerwał Pump.

– Co? Kogo?

– Pomalował na zielono kapitana Dawsona – ciągnął Pump bezbarwnym tonem. – Kapitan Dawson powiedział, że zielony jest kolorem irlandzkich zdrajców, więc Dalroy pomalował go na zielono. Bez wątpienia pokusa była wielka, zwłaszcza że właśnie malowano ogrodzenie i stało tam wiadro z farbą. Oczywiście nie pomogło to kapitanowi w karierze.

– Co za nadzwyczajna historia! – stwierdziła Joanna, wybuchając niezbyt wesołym śmiechem i nie odrywając oczu od morza. – Z pewnością przejdzie to do legend waszego hrabstwa. Nigdy przedtem nie słyszałam o tym. Ha, cóż, może to dało początek nazwie gospody „Pod Zielonym Człowiekiem” tam, pod miastem.

– Och, nie – odparł po prostu Pump. – Była tam oberża jeszcze przed bitwą pod Waterloo. Prowadził ją stary Noyle, póki go nie zamknęli w domu wariatów. Pamięta pani starego Noyle’a, lady Joanno? Słyszałem, że jeszcze żyje i wciąż pisuje listy miłosne do królowej Wiktorii. Tylko, oczywiście, teraz ich nie wysyła.

— Czy słyszał pan ostatnio o swoim przyjacielu Irlandczyku? – spytała dziewczyna, wlepiając spokojne oczy w linię horyzontu.

— Tak, dostałem list w zeszłym tygodniu – odparł właściciel gospody. – Niewykluczone, że wróci do Anglii. Występował w imieniu jednej z greckich wysepek i zdaje się, że układy są już skończone. Tak się dziwnie złożyło, że jego lordowska mość, jako poseł angielski, prowadził te rokowania.

— Ma pan na myśli lorda Ivywood? – spytała dość chłodno lady Joanna. – Tak, niewątpliwie czeka go wielka kariera.

— Chciałbym, żeby on nas tak nie gnębił – zachichotał Pump. – Nie wyobrażam sobie, by choć jedna gospoda ostała się w Anglii. Ale wszyscy w rodzinie lorda zawsze mieli bzika. Wielka to uprzejmość z naszej strony, że pamiętamy jego dziadka.

— A ja sądzę, że to nie jest wcale uprzejmie z pańskiej strony – uśmiechała się smętnie lady Joanna – żądać od damy, żeby pamiętała czyjegoś dziadka.

— Pani wie, o czym myślę – odparł wesoło Pump. – Sam zresztą nigdy nie osądzałem tego surowo. Wszyscy mamy swoje dziwactwa. Ja sam nigdy nie wprowadziłbym świni do kościoła. Ale nie rozumiem, dlaczego ktoś nie miałby umieścić świni obok siebie w ławce kościelnej, jeżeli mu to sprawia przyjemność. To nie było miejsce dla wszystkich. To była ich kolatorska ławka.

Lady Joanna znów wybuchnęła śmiechem:

— Co za okropne rzeczy pan słyszał! No tak, ale już muszę iść, panie Hump, to znaczy Pump. Miałam zwyczaj

nazywać pana Hump... Hump! Jak pan myśli, czy któreś z nas, pan albo ja, znowu będziemy szczęśliwi?

— To chyba zależy od Opatrzności – odparł, patrząc na morze.

— Och, niech pan jeszcze raz to powtórzy. Od Opatrzności... To jest niemal tak samo dobre, jak „Bosman gotów” Marryata!

I z tymi nieprzemyślanymi słowy, ścieżką koło jabłoni, a potem brzegiem morza, dziewczyna ruszyła do Pebbleswick.

Gospoda „Pod Starym Okrętem” położona była nieco poza starym rybackim osiedlem Pebbleswick. A to osiedle z kolei, było oddalone o jakieś pół mili od niezabudowanej przestrzeni kąpieliska Pebbleswick-on-Sea. Ciemnowłosa dama szła wytrwale nadmorską promenadą, którą nierozsądny optymizm, tak rozpowszechniony w miejscowościach kąpielowych, rozciągnął daleko na wschód i na zachód. W miarę jak zbliżała się do miejsc bardziej zatłoczonych, coraz uważniej przyglądała się grupkom na plaży. Przeważnie byli to ci sami ludzie, których widziała tu przeszło miesiąc temu. Poszukiwacze prawdy (jak by powiedział człowiek w fezie) dzień w dzień zbierający się tutaj, by dowiedzieć się, co robił jegomość z tekturowymi pudełkami. Choć dotąd nie dowiedzieli się tego, nie uprzykrzali sobie tej intelektualnej pielgrzymki. Wciąż jeszcze gromiącemu ateście słuchacze rzucali pensowe monety, jakby w uznaniu dla jego bezustannych obelg. Było to tym dziwniejsze, że tłum niewątpliwie był obojętny, ateista zaś

niewątpliwie szczerzy. Zniknął natomiast człowiek z długą szyją, który dyrygując drewnianym szpadelkiem, śpiewał z dziećmi hymny anglikańskie. Prowadzenie tego rodzaju chórów dziecięcych nie może trwać wiecznie. Niezmienne jednak, jak poprzednio, trwał na posterunku człowiek, pragnący jedynie ukazywać się z marchewkami na kapeluszu. Wydawało się nawet, jakby zebrał więcej pieniędzy niż przedtem. Lady Joanna nigdzie nie mogła jednak dojrzeć staruszka w fezie. Nasuwało się jej jedno tylko przypuszczenie, że poniósł kompletną porażkę. A ponieważ była rozgoryczona, więc też z goryczą powiedziała sobie, iż zniknął właśnie dlatego, że w koszałkach opałkach, jakie wyplatał, był cień niezwyklej i obłąkańczej jasności umysłu niedostępnej dla całej reszty pospolitych głupców. Samej sobie nie śmiała wyznać, że tak człowiek w fezie, jak i właściciel gospody, zainteresowali ją ze względu na temat prowadzonej z nimi rozmowy.

Kiedy tak znużona szła dalej promenadą, dostrzegła czarno ubraną dziewczynę o rzadkich, jasnych włosach i nieśmiałej inteligentnej twarzy. Z pewnością już gdzieś ją przedtem widziała. Skupiając całą swą arystokratyczną umiejętność odszukiwania w pamięci ludzi średniej klasy zdołała przypomnieć sobie, że to panna Browning, która przed rokiem czy przed dwoma laty przepisywała coś dla niej na maszynie. Powodowana zarówno wrodzoną dobrocią, jak i chęcią zapomnienia o dość posępnych rozmyślaniach, podeszła, by przywitać się z nią. Przemówiła tonem tak szczerym i przyjacielskim, że tamta, zebrawszy całą swą towarzyską śmiałość, powiedziała:

— Od tak dawna chciałam poznać panią z moją siostrą. Jest o wiele bystrzejsza ode mnie, choć zajmuje się domem, co, mam wrażenie, jest zajęciem bardzo staromodnym. Siostra jednak zna wielu intelektualistów. Ot, i teraz rozmawia z jednym z nich. To ten prorok księżycy, o którym wszyscy teraz mówią. Pani pozwoli, bym ją pani przedstawiła.

Lady Joanna spotykała w swoim życiu wielu proroków księżycy i innych ciał niebieskich. Ale cechowała ją owa spontaniczna uprzejmość właściwa ludziom jej klasy, więc podeszła do ławki na promenadzie. Ze skwapliwą uprzejmością pozdrowiła siostrę panny Browning, co powinno być poczytane za zasługę, bo trudno jej w ogóle było na nią patrzeć. Obok bowiem, na ławce, w czerwonym fezie, ale w nowym, czarnym, wyglądającym dostatnio surducie, siedział ów staruszek, który na plaży przemawiał o gospodach w Anglii.

— Miał wykład w naszym Stowarzyszeniu Miłośników Etyki – poinformowała szeptem panna Browning – na temat słowa „alkohol”. Specjalnie na temat tego słowa. Doprawdy, był porywający. Wie pani, cały czas mówił o Arabii i algebrze, i o tym, w jaki sposób to wszystko pochodzi ze Wschodu. Naprawdę zajęłoby to panią.

— Tak, te rzeczy mnie zajmują – powiedziała lady Joanna.

— Pomyślcie, proszę – mówił człowiek w fezie do siostry panny Browning – czego, jeśli nie wielkiego wpływu islamu, dowodzą nazwy waszych gospód. W samym centrum Londynu na przykład, jedna z najwytworniejszych,

cieszących się wielkim powodzeniem restauracji, nazywa się „Pod Końską Podkową”. Powiecie pewnie, moi przyjaciele, dlaczego ktoś miałby czcić podkową? To tylko dodatek do stworzenia znacznie bardziej interesującego od niej. Już wam dowodziłem, że sam ten fakt, iż macie w waszym mieście szynk zwany „Buul”, a więc byk...

— Chciałabym pana spytać... – zaczęła nagle lady Joanna.

— Szynk zwany „Buul” – ciągnął dalej człowiek w fezie, głuchy na wszystko – i przekonywałem, że nazwa „buul”, czyli byk, działa drażniąco, a „bulbul”, czyli słowik, uspokajająco. Ale nawet wy, moi przyjaciele, nie nazwalibyście gospody od kółka w nozdrzach byka, lecz od samego byka. Co za sens nazywać tak zacny bar od podkowy – czyli buta, jaki koń nosi na kopycie, nie zaś od samego szlachetnego rumaka? Niewątpliwie to jasne i oczywiste, że termin „podkowa” jest terminem zamaskowanym, ezoterycznym. Stworzonym w owym przejściowym okresie, kiedy to wyznawcy przesądu Galilejczyków uciskali w Anglii wyznawców starej wiary muzułmańskiej. A ten podwójnie wygięty łuk, nazywany podkową – czyż nie jest wyraźnym półksiężycem? – i tu rozłożył szeroko ramiona, jak uczynił to już przedtem na plaży – półksiężycem Proroka jedyne Boga?

— Chciałabym spytać pana – zaczęła znów lady Joanna – jak objaśnił by pan nazwę gospody „Pod Zielonym Człowiekiem”, która stoi za tymi domami.

— Właśnie! Właśnie! – wykrzyknął prorok księżycy w chorobliwym niemal podnieceniu. – Poszukiwacz prawdy

nie mógłby chyba znaleźć doskonalszego przykładu. Czyż może istnieć zielony człowiek? Znacie zieloną trawę, zielone liście, zielony ser, zielony likier Chartreuse. Ale pytam, czy ktoś z was, nawet gdyby się obracał w najszerszym kręgu znajomych, mógłby kiedykolwiek poznać zielonego człowieka? Z pewnością, moi drodzy, jest to przekręcenie i skrót pierwotnej nazwy. Cóż może być jaśniejszego niż to, że pierwotne określenie, rozsądne określenie, w najwyższym stopniu historyczne określenie, brzmiało: „człowiek w zielonym turbanie” i nawiązywało do powszechnie znanego ubioru potomków Proroka. „Turban” jest niewątpliwie tego rodzaju słowem, cudzoziemskim i obcym słowem, które łatwo wymawiać niewyraźnie i w końcu w ogóle opuścić.

— Istnieje w tych stronach legenda – wtrąciła spokojnie lady Joanna – że pewien wielki bohater, słysząc, iż ktoś znieważa zielony kolor czczony na świętej dla niego wyspie, w odpowiedzi oblał swego wroga zieloną farbą.

— Legenda! Bajka! – zakrzyknął człowiek w fezie i znów rozłożył ręce, rozpromieniony poczuciem własnej słuszności. – Czyż to nie oczywiste, że nic takiego nie mogło się wydarzyć?

— A jednak się wydarzyło – odparła cicho młoda dama. – Niewiele rzeczy pocieszających istnieje na tym świecie. Ale czasem istnieją. A to naprawdę się zdarzyło.

I z wdziękiem pożegnawszy towarzystwo, obojętnie poszła dalej promenadą.